

# Kronika

## tygodniowa

Każdy chyba przyznać musi, że niema to, jak informacja fachowa wprost z pierwszej ręki. Stwierdzają to informacje owego meteorologa krakowskiego, który kronikarza zapewnił, że nie jest bynajmniej wykluczone, nawet jeszcze w tym roku podniesienie się temperatury, choć upałów spodziewać się już nie należy, jak również i zbyt wielkiego rozgrzania się pleca, ze względu na brak węgla. I spełniły się słowa jego co do joty. Poprzednia kronika, w której znajdowała się wzmianka o tym wywiadzie przelatała się dopiero pod walcem maszyny drukarskiej, gdy nagle się ociepliło i mamy w samej rzeczy piękną polską jesień i to z tak niewielką, przynajmniej na razie, ilością błota, że Zakład czyszczenia miasta na nadmiar zajęcia narzekać nie potrzebuje.

Tę zmianę temperatury mamy zatem, według przekonania kronikarza, do zawdzięczenia jedynie przepowiedni owego fachowca. Jak wiadomo, są oni, gdy mówią *ex cathedra*, nieomylni, oho!by nawet zabierali głos w sprawie, o której niemają pojęcia. Dlatego to n. p. historyk z równą łatwością może rozprawić o skutkach polityki zagranicznej Ludwika XIV, jak i o... popisach choreograficznych naszego znakomitego baletmistrza, weterynarz zna się zaś na wszelkiego rodzaju sztukach, pięknych i nie pięknych, nie wyłączając najpiękniejszych z nich, sztuki mięsa.

Pod tym względem nieomyślność czasem go zawodzi. Pewny jest, że dostanie na obiad sztukę mięsa z ogórkiem, przekonuje się z boleścią, że dziś post, gdyż siłąca mięsa z miasta nie przyniosła.

Piękny dowód nieomyślności dał zatem ów meteorolog. Jeszcze nie miał czasu skończyć wywodów, a już się zmieniła, jak na zawołanie.

Dla kobiety niema nic świętego. Weronika w nieomyślność fachowców nie wierzy i twierdzi stanowczo, że dlatego się ociepliło, ponieważ zliczyła dwunastą tyś, a to środek jedyny na „złamanie” mrozu.

Kronikarz nie jest fachowcem w żadnym kierunku, na wszystkim zna się trochę, jest zatem i ostrożnym w wypowiedzi swego zdania, co go przecież nie chroni od pomyłek, które zresztą są ludzką rzeczą. Ileż to jak popełnił, przyznaje się do tego zupełnie szczerze i otwarcie i tem ma swą winę. To ma się zresztą rzadko przydarzać, gdyż kronika tygodniowa jest z natury rzeczy raczej oglądaniem się wstecz poza siebie, nie zaś patrzeniem naprzód. Nie ma zatem sposobności do robienia zbyt daleko naprzód idących karkołomnych kombinacji. Od tego są artykuły wstępne, zajmujące w piśmie naczelne miejsce, gdy natomiast jego pracy wyznaczono zaciśnięty kącik, niemal przy samym końcu numeru.

Nie patrząc też przed siebie, ale oglądając się poza siebie, widzi też tem łatwiej pomyłki innych, nieraz nawet fachowców, których zbyt daleko uniosła rozbujala nadmiernie fantazyja.

Skonstatował też w ubiegłym tygodniu, że i nasz Rząd nie jest nieomylny. Wiadomo, że jest on wybitnie lewicowy, zabarwienie zaś główne daje mu ludowy i socjalistyczny, gdybyśmy zatem chcieli go przedstawić w kolorach, musielibyśmy użyć barwy zielonej i czerwonej. Pierwsza z nich oznacza nadzieję, druga zapal, obie razem zmieszane dają kolor szary. I to jest właściwa jego barwa.

Rząd ten powołano do życia w chwili, gdy kraj znajdował się w bardzo poważnej sytuacji. Z jednej strony groziło mu czerwone niebezpieczeństwo, z drugiej zawiody nadzieje pomocy, jaką nam obiecywano w walce z bolszewikami. I już zdawało się, że wybiła dla nas ostatnia godzina, że podzielimy los owego biednego zajaca, którego zjadły psy w oczach serdecznych przyjaciół. Ale stał się cud!... Naród polski przejrzał i ocknął się jeszcze na czas. Całe społeczeństwo stanęło do wspólnej pracy i dzięki temu udało się przepędzić daleko poza granice kraju nieproszonych gości, którzy na naszych śmieciach zaczęli już tak gospodarzyć jak u siebie w domu.

Dziś, gdy niebezpieczeństwo już minęło, obecny Rząd, a raczej stronnictwa, z których wyszedł, twierdzą wszem wobec, że one uratowały Polskę.

I tu leży właśnie ich pomyłka! Nie one uratowały kraj, ale uratował go cały naród współzamiernymi siłami. A znalazł się w krytycznym położeniu głównie dzięki działalności obu tych stronnictw, które obecnemu Rządowi polskiemu dają zabarwienie.

Niechaj zatem tak ludowy jak i socjalistyczny podziela się zasilają z innymi takimi stronnictwami, które do ogólnej budowy dołożyły swą cegiełkę, nie szczerząc

ofiar krwi i mienia, złożonych w tym czasie na ołtarzu Ojczyzny.

Nie znaczy to, jakobyśmy obecnemu Rządowi odmaiwiali zasług. Broń Bże!... Oddajemy zawsze każdemu, co się mu słusznie należy i dlatego w poprzednim numerze podnosiliśmy z uznaniem, że owe pięćset gęsi pomorskich, które zleciały do Krakowa, mamy do zawdzięczenia wyłącznie prezydentowi gabinetu Witosowi, który na Pomorze pojechał i przy sposobności gęsi zakupił. Moglibyśmy mieć chyba tylko o tyle urazę, że ich było mało, bo i cóż to jest pięćset gęsi na takie miasto, jak Kraków. Z drugiej jednak strony tłumaczymy sobie, że te gęsi były właśnie dla Warszawy przeznaczone, tak bowiem głosili swojego czasu telegramy. Kraków powinien być zatem zadowolony, że ma bodaj coś kapło. Łatwo bardzo mógł nie nie dostać, gdyż warszawskie sfery robotnicze, które mniej czasu poświęcają pracy, a więcej bezrobociu, mają też i niegorszy apetyt.

Henryk IV, król francuski, mawiał, że jest jego daniem, aby każdy Francuz mógł mieć na niedzielę kurę w garażu, prezydent Witos może powiedzieć śmiało, że tylko dzięki jemu mieli Warszawiancy gęsinę, Krakowiacy także, ale w tak skąpej ilości, że można nad nią przejść do porządku dziennego. Minister zdrowia publicznego i prywatnego może być zupełnie spokojny, że gęsiną pomorską zbyt nie obciążyliśmy sobie żołądków.

W każdym razie gęsi były i zasilę ich zakupienia nikt nie zaprzeczy.

Obecnemu Rządowi zapisujemy też na karzele plusów starania o wprowadzenie równowagi w budżecie państwowym przez stosowanie oszczędności w różnych kierunkach. Jedną z nich ma być redukcja stanu urzędniczego, zwłaszcza w ministerstwach, gdzie się namnożyło tylu dyktatorów, iż jeden drugiemu przeszkadza przy pracy, wobec czego wszyscy nic nie robią. Trzydzieści procent z pośród sił biurowych ma się stać pastwą systemu oszczędnościowego. W biurach ministerialnych panuje też dość ciężka atmosfera, a powodem jej wycekiwanie, czy na pierwszy ogień pójdą dyktatorzy z wykształceniem akademickim, czy też domowym. Śluszność każe, aby zaczęto od tych pierwszych. Choć urządy posady, w świecie nie zgina, gdy natomiast tym drugim trójnolej przyszłoby wynaleźć sobie jakieś równie popłatne a wygodne zajęcie. Rzeknąć się oni zresztą prywatnie z pomieszczy „protegowanych”, ci zaś cieszą się zwykle nietykalnością.

Jak się zdaje, to najniższą rangą w warszawskich ministerstwach jest ranga szefa sekcji, tak bowiem wynikałoby z przedstawienia się różnych ministerialnych dostojników, odwiedzających nas od czasu do czasu. „Szef sekcji”, lub „w randze szefa sekcji”... słyszy się z ust każdego, ubolewając zarazem, że, jeśli będą normalnie postępować po szczeblach urzędowej drabiny, szczebli tych braknie, nim wysłali swe lata. Rzecz prosta, że taki pan szef sekcji nie jest od roboty, ale jedynie podpisywania „kawałków”, jeśli ma ich zaś do podpisu nie przedłożą, to nie jego wina i o próżniactwo winić go nie można. Każdy z nich ma chęć jak najlepsze, a dobre chęci to dziś grnat.

Niestety, pokazało się przecież, że za same dobre chęci płacić nie można, bo skarb państwowy tego nie wytrzyma i dlatego zapowiedziano ową redukcję stanu urzędniczego, która tyle hałasu i przerażenia narobiła.

Czy jednak nie skończy się jedynie na pogroźce, to dopiero dalszy ciąg pokaze. Wybrać trzydzieści procent przeznaczonych na catopalenie, to znów nie tak łatwo, zwłaszcza, jeżeli wchodzi tu w grę i przemysł państwa... protekcyja, a znów o stronnictwach, stojących dziś u steru, musi się powiedzieć, że nie żałowały poparcia różnym miłym sobie osobom.

Zasilają Rząd w każdym razie, że chce w tym kierunku zaprowadzić oszczędność, rozchodzi się przecież o to, aby je przeprowadzono sprawiedliwie.

Samo przecież zmniejszenie stanu urzędniczego w poszczególnych ministerstwach, których funkcyjaryusza w braku innego zajęcia psują jedynie tak drogi dziś papier i atrament (a ich koleżanki nie mogą sobie dać rady z ortografią, lecz nie z powodu jej niezręczności, ale z przyczyny wadliwej konstrukcji maszyny...), to mało. Trzeba jeszcze zwinąć cały szereg rozmaitych instytucji, które niepotrzebnie obciążają budżet państwowy, a można się bez nich obejść. Do ich redukcji należą nawet dwa ministerstwa: zdrowia i kultury. Agendy pierwszego można bardzo łatwo przydzielić ministrowi spraw wewnętrznych, drugiego, panu od oświaty. Tak biurokratyczne państwo jak s. p. Austria, jakoś się bez nich obchodziło.

Raz powiada się, że Polska jest chłopską i chłopską masę pozostać, a w minutę potem zadaje się kłan własnym słowom, stwarzając nowe urzędy, nie z ową chłopskością nie mającą wspólnego. Catop nasz lubi zasilawać wszystko „od ręki” i dlatego do rozmaitych urzędów bynajmniej nie ma zaufania.

Tych urzędów namnożyło się tyle, że i dziwić się

nie można ministrowi skarbu, nie mogącemu znaleźć pokrycia na rosnące z każdym dnem wydatki i szukającym wobec tego pokrycia na nie nieraz i ze szkoda ogółu. Cóż ma jednak poszć, Koledzy powiedzieli, że taki urząd jest potrzebny, a rzeczą jest jego, aby znalazł odpowiednie kredyty. Niszem drzewem pałą gdzieś indziej, nasz cukier słodzi innym żywot doczesny, a nafia kopci takie nie dla nas, nowe urzędy wylatą zaś na światło dzienne, jak grzyby po deszczu. Gdyby bodaj funkcyjowały sprawnie, byłoby jeszcze pół biedy, ale one powstają jak gdyby tylko po to, aby wprowadzić do życia publicznego jeszcze większy nieład i nieporządek. Zyska na tem zwinieciu niektórych niepotrzebnych urzędów i ogół, któremu brak mieszkań daje się coraz bardziej we znaki. Niech tylko opróżni się jakieś mieszkanie, już się tam lokuje urząd, a jeżeli niema wolnego, to się musi znaleźć, aby urząd nie pozostał bez dachu nad głową, bez czego natomiast mogą się obejść zwykli śmiertelnicy.

Szoro mowa o mieszkaniach, należy zaznaczyć, że kamienicznicy dla obecnego Rządu tywią głęboką wdzięczność, gdyż stała popiera ich interesy. Nowa ustawa o podwyższeniu czynszu o sto procent w stosunku do lat przedwojennych, rozjaśnia ich ciemność. Nie tyle im się rozchodzi o ową podwyżkę, ani o zrównanie koron z markami, ile o te „dodatkowe opłaty za różne świadczenia”, na których sobie obiecują odliczyć te straty, jakie przez sześć lat wojny ponieśli. Każdy z nich zna się dobrze na podwójnej buchalceryi, obliczy więc wszystko bardzo skrupulatnie, jeżeli zaś ma jakieś braki pod tym względem, do stycznia ma się czas douszyć.

Nie opłaci się zatem być obecnie lokatorem, czynsz opłacającym, daleko natomiast praktyczniej znaleźć się w szeregach kamieniczników, co niestety, połączone jest z pewnemi trudnościami, natury technicznej. Trzeba być przede wszystkim właścicielem realności, a, aby ją nabyć, musi się mieć pieniądze i to w wielkiej ilości. W miarę, jak waluta traci swą wartość, ceny realności idą w górę. Za rudę, która przed wojną nadawała się jedynie do zburzenia, dziś trzeba zapłacić milion, a na to musi się go mieć, w przeciwnym razie... nie da rady!... A tu, jak na złość, zaraz pierwszą pramówką skrowiła!... Zmianst, aby milion wygrał ktoś potrzebujący, los przesunął go jakiemś warszawskiemu bankowi, który ma tyle pieniędzy, że aż ich potrzeba innym. I jest w tem sprawiedliwość?... Kto ma datę, temu się jeszcze więcej pcha drzwiami i oknami, aby się spełniło, co powiada przysłowie, że „kto się urodził do torby, ten się kufarka nigdy nie dorobił!...”

Zawiody kronikarza nadstaje, ale ich nie traci. Co się nie stało dziś, stać się może jutro. Ma przed sobą jeszcze dwadzieścia lat oczekiwaniami na zostanie milionerem, a przez ten czas pójdą znów w górę pieniądze, a spadną realności, będzie więc można za te pieniądze kupić coś ładniejszego i większego.

Ciesza zatem i tem się pociesza, że w ciągu lat dwudziestu może przecież zdecydować się kapryśna Fortuna spojrzeć w jego stronę.

Dobry Bóg, by się nie pomylił!

I druga wygrana nie przypada kronikarzowi w udziale. Tym razem szczęśliwą była jakaś pani Babska z Warszawy, stanowiąca dziś przedmiot zazdrości wszystkich posiadaczy „milionówek”, o ile zaś jest niezamężną, wstąpiła do wszystkich kawalerów, mających ochotę zakosztować słodkiego matuszkiego pozycja. A połączenie się dogonnym węzłem z posiadaczką miliona bez żadnych potrażeń, daje gwarancję, że w braku innych słodczy, można sobie nawet pozwolić na sztuczne osłodzenie życia przy pomocy cukru. Pięknie los zrządził, dając pierwszeństwo plot nadobernej, niechaj jednak nie zapomina i o brzydkiej, która jeszcze bardziej pieniądze potrzebuje.

Spełniło się natomiast śmieszne przewidywanie kronikarza, że w dniu św. Marcina nie uraczy się gęsiną. Widział wprawdzie te sympatyczne okazy, słyszał wymowne ich gaganie, powonienie jego drżał miłe dotykający z sąsiadującą kuchnią pewnego milionera delikatny zapachek pieczonego ciętka gęsięgo, ale, niestety, na tem się skończyło. Magistrat, sprzedając gęsi w dniu 29. października, uczynił to, jak gdyby namiętnie, aby proletaryat inteligentny nie przywykając się do zbytków. B! i ktoś przy końcu miesiąca może sobie pozwolić na podobny wydatek?... Chyba paskarz, kamienicznik lub szczęśliwiec, który wygrał milion na premiówkę.

To gorsze, że magistrackie gęsi nie dotrzymały do dnia św. Marcina, ale przedtem jeszcze zniknęły w przepaścistych żołądkach głodnych Krakowian. Zjedzono je z rozpaczą, że, o ile były chude, do tego czasu się nie upasły, lub z obawy, aby tuste tymczasem nie schudły. O łakomstwo nie można zatem winić Krakowian, raczej należy chwalić ich rozsądne postępowanie, nawet w tak blask na pozór sprawie.